



MIECZYŚLAW ROMANOWSKI

Kilka dni w górach Pokucia

Mieczysław (Jan, Julian) Romanowski urodził się 12 kwietnia 1833 r. w Żukowie na Pokuciu, w zubożałej rodzinie szlacheckiej, dzierżawiającej majątek od hrabiego Dzieuduszyckiego. Do szkół uczęszczał w Kołomyi i w Stanisławowie. Kiedy w 1848 r. na Węgrzech wybuchło powstanie, piętnastoletni wówczas młodzieniec uciekł ze stancji wraz z kilkoma starszymi kolegami, pragnąc udzielić wsparcia walczącym. Jednak nim dotarli do granicznej Przełęczy Jabłonickiej, całą grupę niedoszłych obrońców węgierskiej wolności dogonił w Jaremczu ich nauczyciel i odesłał do domów. Być może był to pierwszy bezpośredni kontakt Romanowskiego z górami Huculszczyzny. W latach 1853–57 studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim. Należał do grona postępowej młodzieży literackiej (m.in. Mieczysław Pawlikowski, Ludwik Wolski, Tadeusz Wasilewski, Marceli Eminowicz, Kornel Ujejski) skupionej wokół czasopisma „Nowiny”, w którym w 1854 r. debiutował poematem *Chorąży*. Po studiach został stypendystą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zaś od 1860 r. podjął pracę jako skryptor w jego bibliotece. W 1857 r. napisał najsłynniejszy ze swych poematów, *Dziewczę z Sącza*, o którym pisze w tym tomie „Płaju” Antoni Kroh.

Od 1860 r. Romanowski angażował się w prace konspiracyjne. W 1863 r. jako adiutant pułkownika Marcina Borelowskiego (ps. „Lelewel”) przekroczył razem z jego oddziałem granicę Galicji, by wziąć udział w powstaniu styczniowym. Zginął 24 kwietnia 1863 r. na Rostoczu, w bitwie pod Józefowem.

W latach 1856–67 bawił Romanowski w Berezowie na Huculszczyźnie. Owocem tych pobytów jest dość wyjątkowy w twórczości tego patriotycznego poety romantycznego reportaż literacki (czy też, jak wolą inni, szkic powieściowy), który tu publikujemy — jako pierwsi w całości. Romanowski, w przeciwieństwie do swoich poprzedników wędrujących po Karpatach, którzy podkreślali naukowy charakter swoich peregrynacji, nie ukrywa, że wędruje, bo po prostu lubi się włóczyć. Być może należy mu się więc miano pierwszego prawdziwego, bo bezinteresownego turysty na Huculszczyźnie.

Swój reportaż pt. *Kilka dni w górach Pokucia* Romanowski opublikował po raz pierwszy w odcinkach w lwowskim „Dzienniku Literackim” z 1857 r. (nr 138–141) i powtórzył, także w odcinkach, w warszawskiej „Gazecie Codziennej” z 1858 r. (nr 40–44 i 46). Blisko sześćdziesiąt lat później pod skróconym tytułem *W górach Pokucia* opublikował go też „Tygodnik Ilustrowany” (Warszawa 1916, nr 40–42, 44 oraz 51–52)

24. Listopada.
Wtorek
Rok 1857.

DZIENNIK LITERACKI

Wychodzi we Lwowie, co Wtorek, Czwartek i Sobota.
 Roczna prenumerata w mieście 6 złr. półr. 3 złr. kwart.
 1 złr. 30 misa. 30 kr. Poczta rocz. 8 złr. półr. 4 złr.
 kwart. 2 złr. kr. m. k. Ryc. mied. kwart. 1 złr. m. k.

Nr. 138.

Inseraty przyjmują się za opłatą stepu po 10 kr. mo-
 netą konw. za każdorazowe umieszczenie i opłatą druku
 po 4 kr. za raz pierwszy, a po 2 kr. za następne od
 wiersza drobnym drukiem.

Kilka dni w górach Pokucia.

Do najpiękniejszych okolic naszego kraju na-
 leży bez wątpienia Pokucie. Od północy ma cza-
 rujące wybrzeża Dniestru, na wschód, począwszy
 od Obertyna stęp rozległy, kraina mogił, pamiętna
 najazdami dzikich hord tatarskich, Wołoszy i Koza-
 czynzy, które powstrzymało żelazne ramię Jana z
 Tarnowa, żywna w bujny kłos, z otwartym widokiem

owocowych licznie porozrzucane chaty. Jest to szla-
 checka osada Berezów. Z dala wygląda ona więcej
 na jakiś ogród olbrzymich rozmiarów, pełen stru-
 mieni, kaskad, domków pustelniczych, grot, skał
 itd. niż na zaścianek. Pierwsze *Sława Isusu Chrestu!*
 wyrzeczone z serdeczną poufałością przez zdybanego
 górala-szlachcica rychło obudzi z marzeń fantasy-
 cznego entuzjastę i przekona go, że zaczerowane
 ogrody, to wieś poczciwej a butnej szlachty zagro-
 dowej; — że dolinę Bóg uczynił piękną, oni ją tyl-

Pierwodruk reportażu Romanowskiego w „Dzienniku Literackim”

— oczywiście w odcinkach. Wreszcie fragmenty reportażu Romanowskiego znalazły się także w *Romantycznych wędrówkach po Galicji* w opracowaniu Andrzeja Zielińskiego, wydanych w 1987 r. przez Zakład Narodowy im Ossolińskich.

Reportaż Romanowskiego uzupełniamy dwoma jego wierszami wschodniokarpac-
 kimi, które — dodajmy — były jednymi z pierwszych w literaturze polskiej poświęco-
 nych wprost tym górcom. Niestety, poecie skutecznie przypięto etykietkę patriotyczno-
 romantyczną, toteż reportaż z gór Pokucia przez krytyków literackich bywa najczęściej
 przemilczany, a utwory poświęcone górcom są pomijane w publikowanych wyborach
 jego wierszy. Po szczegółową analizę literacką twórczości Romanowskiego dotyczącej
 Huculszczyzny odsyłamy zatem do pracy *Huculszczyzna w literaturze polskiej* Jana A.
 Choroszego, gdzie znalazła ona należne jej miejsce.

* * *

Publikacjom reportażu Romanowskiego w „Dzienniku Literackim” i „Gazecie Co-
 dziennej” nie towarzyszyły żadne ilustracje, natomiast „Tygodnik Ilustrowany” zamie-
 ścił cztery zdjęcia, z których dwa zasługujące na uwagę publikujemy i my. Pierwszemu
 odcinkowi (nr 40, 30 IX) towarzyszyła fotografia podpisana „Bukowina. Typy Hucu-
 łów z Bukowiny”. Tak naprawdę było to zdjęcie Huculów przed kapliczką w Żabiem,
 wykonane przez Jerzego Konopackiego i opublikowane w ilustrowanym przewodniku
 Orłowicza po Galicji z 1914 r. na str. 197. Zresztą „Tygodnik Ilustrowany” wykorzystał
 to samo zdjęcie już wcześniej, na okładce nr 6 z 1915 r. z podpisem: „Z terenu walk na
 Bukowinie. Huculi”. Jaką drogą zdjęcie zrobione podczas jednej z wypraw lwowskiego
 AKT (sprzed 1914 r.) trafiło do Warszawy, i to w czasie wojny, pozostaje zagadką.
 Podobnie wygląda sytuacja ze zdjęciem towarzyszącym czwartej części reportażu Ro-
 manowskiego (nr 44, 26 X). Fotografia podpisana jest „Z terenu walk na Bukowinie.
 Rzeka Seret”, a w rzeczywistości przedstawia Huculów stojących na darabie na Białym

Czeremoszu i także było zamieszczone w przewodniku Orłowicza, na str. 205, jako „Tratwy na Czeremoszu”. Jego autorem też jest Jerzy Konopacki.

Konsekwencje tego chyba nie do końca etycznego zabiegu redaktorów „Tygodnika Ilustrowanego” trwają do dziś. Otóż całkowicie cywilne i zrobione na kilka lat przed wojną zdjęcie Hucułów przed kapliczką w Żabiem znalazło się jako wojenna ilustracja w wydanej w 2014 r. w Krakowie książce *Monarchia, człowiek, wojna* pod redakcją A. Zięby i A. Świątka.

* * *

Zachowaliśmy oryginalną, archaiczną pisownię tekstu, dokonując pewnych poprawek tylko tam, gdzie bez nich lektura mogłaby być utrudniona, zwłaszcza w interpunkcji.

Andrzej Wielocha

Do najpiękniejszych okolic naszego kraju należy bez wątpienia Pokucie. Od północy ma czarujące wybrzeża Dniestru; na wschód, począwszy od Obertyna, step rozległy, kraina mogił, pamiętna najazdami dzikich hord tatarskich, Wołoszy i Kozaczyzny, które powstrzymało żelazne ramię Jana z Tarnowa¹, żyzna w bujny kłos, z otwartym widokiem na Karpaty, zaginające się ku Bukowinie; na zachód mienią się rozrzucone po pagórkach wsie i złote łąny z ciemnozielonemi smugami lasów. Prut i dwa Czeremosze to żywe drogi z kryształu do stromych Karpat, stanowiących tło obrazu od południa.

Rzucającemu wesołą drogę do Kołomyi ukazują się Karpaty w coraz wyraźniejszych zarysach; z wolna dają się rozróżnić płoniny² i ciemne, lesiste załomy, coraz widoczniej występują pasma piętrzące się nad sobą; niby pani tej ziemi, wzniosła się nad niemi Czarna--góra, której dwa szczyty otaczają mgły i pełne dziwu powieści naszego ludu.

Szumi Prut, rad że sobie między dwoma Chomiakami przełamał łożysko; po drugim brzegu tego hulaki, który jak rzymskiego poety Araxis³, niecierpi długo mostu nad sobą, nagle świat inny otoczy przychodnia. Ciepły wiatr dmuchnie nań od południa wonią ziół i zapachem żywicy jodłowych borów. Żyzne łąny płaszczyn zmieniły się w łąki, spływające pstrą falą z uboczy pierwszego łańcucha Karpat, u którego stóp położone miasteczka Kutu, Pistryń, Kosów, Jabłonów i Peczeniżyn, są niby wjazdowymi bramami do czarodziejskiej krainy gór.

¹ Jan Amor Tarnowski (1488–1561), hetman wielki koronny, zwycięzca w bitwie pod Obertynem w 1531 r. w wojnie z hospodarem mołdawskim Piotrem Rareszem.

² Płonina, czyli połonina. Romanowski konsekwentnie używa tej wersji nazwy pastwisk wysokogórskich w Karpatach Wschodnich.

³ Antyczna nazwa rzeki Araks w Armenii, pisali o niej m.in. Cycero (*pontem indignatus Araxis*) i Tacyt w *Rocznikach*.

Znając część Karpat począwszy od Kosowa i Jasionowa, po za Żabie i wznoszącą się nad nim okazałą Krętą aż do źródeł żabiowskiego burkutu, wzdłuż Czeremoszu Białego, umyśliłem wierny wrodzonej chęćce włóczenia się, zwiedzić Karpaty od Jabłonowa⁴.



Daraby na Białym Czeremoszu (fot. J. Konopacki)

Ćwierć mili za Jabłonowem wjeżdża się wąską szczywą między dwa pasma gór z granitu i szarego łupku, oddalające się potem od siebie ku południowi półkolem. Na milę wzdłuż, na pół mili w szerz rozciąga się piękna dolina, zamknięta od północy pasmem Bukownika, Kniażego Stołu i Kaniugi, od południa zaś otoczona ciemną Rokietą, Dżemirem, Capulem, Rotundułem i Kosmackimi Płoninami. Jadącego drożyną wzdłuż szumiącego potoku powitają wdzięcznym wejrzeniem śród zielonych niw i drzew owocowych licznie porozrzucane chaty. Jest to szlachecka osada Berezów. Zdaleka wygląda ona więcej

⁴ Jan A. Choroszy (*Huculszczyzna w literaturze polskiej*, str. 27) pisze, że wiadomo o trzech wyprawach Romanowskiego w Karpaty Wschodnie: na początku sierpnia 1856, w sierpniu 1857 i w 1859 r. Wiele wskazuje na to, że *Kilka dni...* jest sumą wrażeń z wycieczek zrealizowanych w trakcie pierwszych dwóch pobytów. Inna sprawa, że autor w tym miejscu jasno daje do zrozumienia, iż bywał na Huculszczyźnie także wcześniej.

na jakiś ogród olbrzymich rozmiarów, pełen strumieni, kaskad, domków pustelniczych, grot, skał i t.d., niż na zaścianek. Pierwsze *Sława Isusu Chrestu!* wyrzeczone z serdeczną poufałością przez zdybanego górala-szlachcica rychło obudzi z marzeń fantastycznego entuzjastę i przekona go, że zaczarowane ogrody to wieś pocziwiej a butnej szlachty zagrodowej; że dolinę Bóg uczynił piękną, oni ją tylko znaleźli, zamieszkali i mimo wiedzy dodali krasy, rozsiewszy po niej swoje chaty i sady. Trzy strumienie, wyrrywające się w szalonych skokach z ciemnych przewałów pomiędzy Rokietą, Capulem i Dżemirem, przeryniają z szumem wieś i kobierce łąk, ocienionych tu i owdzie kępami olszyny. Tam daleko od zachodu i południa wznoszą się ponad inne szczyty: Barani Grzbiet, Jawornik, skalisty Siniak, Szczekaliska Góra, czarny Pozeretul i Kręta; Czarna-góra nie zawsze raczy odsłonić lice, po większej części otulona jest mgłami.

Miało się dobrze pod wieczór kiedym dojeżdżał do Berezowa. Dziwnem uczuciem przejęło mi pierś rozwijające się przed memi oczyma widowisko. W powietrzu była cisza, wieś i dolina utopiły się w mgłę, wiszącej nad strumieniami; słońce zapadało między Jawornikiem a Siniakiem, cały zachód roziskrzony był czerwonym blaskiem, a wynioślejsze szczyty świeciły się jak złożone kopuły świątyń; na południu i wschodzie spływały się góry z szafirami niebios w jedno, zorza wieczorna wschodząc z rojami siostrzyc pozwalała odgraniczyć je myślą tylko od siebie, niższa bowiem część ciemnego szafiru była bez gwiazd, kiedy górne strefy posuwały coraz dalej ku zachodowi miliony tych światel. Po kilku minutach zciemniał i zachód; świecące kopuły świątyń płynęły się jak ich siostrzycy na wschodzie z niebem w jedno, bliższe tylko góry odrysowały się czarniej na tle nocy. Wkrótce potem innego rodzaju światło oblało góry czerwoną łuną — były to nocne ognie pastuchów, rozłożone przy szałasach, na wyniosłych grzbietach płonin. Olbrzymi ten dramat usypiającej przyrody rozwinął się zdziwionemu oku w niespełna półgodziny, zapisując się w duszy głębokiem wrażeniem.

Stałem przed chatą starego szlachcica, położoną u stóp Dżemiru. Gospodarz, wysmukły starzec, wyszedł na powitanie z pogodną jak wieczorne niebo twarzą. Powitał w imię Boga serdecznie; z całego jednak półgodzinnego obejścia się ze mną zauważałem, że mi nie dowierzał pocziwiec, daremnie zawiązywałem rozmowę, starzec przeciał ją zawsze krótkiem: tak lub nie. Dostrzegłem w końcu, że moja dziwerowa dwururka i pies, czarny wyżeł przy niej leżący, zajęły starca więcej niż gość, co chwila bowiem spoglądał na nie. No, przecież przedmiot jakiś, pomyślałem, co mnie z tego położenia wybawi.

— Wyście myśliwi, ojcze? — zacząłem.



Szlachta berezowska (fot. H. Gąsiorowski)

— Bywało to bywało — odparł starzec, ale tejże samej chwili zapytał: —
A wyście szlachcic litymowany, młody paniczku?

— Tak jest, ojczu.

— A jakim że się herbem, jeśli wolno spytać, wasz honor pieczętuje?

— Boża Wola.

— Aha! — odrzekł poważniej — znałem dawniej rodziny tego herbu.
Ja pieczętuję się Sasem, i tego używa prawie cały Berezów Berezowskich
z wyjątkiem kilku zawłoków. No, rozgoścież się u mnie jakbyście doma.

Zaprezentowanie się moje było tedy tym mieczem, który przeciął ów goryski węzeł szlacheckiej nieufności. Szlachcic nie wiedział, z kim ma do czynienia, i lękał się profana jak równego traktować; od tej chwili stał się całkiem innym. Przy wieczerzy posadził mnie za modrzewiowym stołem, pod obrazem Panny Zbawicielki, uwieńczonym kwiatami ciemnobłękitnego świecznika. Żywo rozmawiając obznajomił mnie wpierw z swojemi rodzinnemi stosunkami, z rodzajem górskiego gospodarstwa i zarobku, którego najgłówniejszym artykułem jest chów bydła, przysposobienie siana i wypasanie trzód owiec po płoninach; siewba ogranicza się tylko na jarem życie, owsie i ziemniakach, a zbiór wystarczy rodzinie ledwie na dwa pierwsze jesienne miesiące. Po wieczerzy wyszliśmy na podwórko. Niebo było pogodne, wiatr ciepły pociągał od Węgier; my zasiedli na zwalonej kłodzie, a starzec, przy fajeczce, którą po dłuższem opieraniu się z jego strony nałożyłem tureckim tytoniem, stawał się coraz rozmówniejszy. Nie długo dowiedziałem się, że był legionistą...

O tak, panie — rzekł do mnie — wojowało się. Było to w roku dziewiątym; mój ojciec miał wtedy cztery konie i sześć wołów, tęgich rogaczy węgierskich. Z wiosną zarabiali nasi zwykle tem, że kupowali topkową lub beczkową sól na rządowej bani i wozili ją za Bug i Wisłę, mieniając ją tam za ziarno lub gotowe pieniądze. Z takim transportem wyprawił ojciec stryja mego, bezdzietnego wdowca i mnie trzema brykami w podróż; matka moja dała nam jeszcze dwa postawy sukna własnego przedzenia i tkania na sprzedaż. Po dwu niedzielach stanęliśmy w Sandomierzu; sprzedawszy tam co się dało, puściliśmy się w Kaliskie. Jakoś przed Zielonemi świętami wypadł nam nocleg w karczmie, o milę tylko od Kalisza. Stryj mój zasiadł na ławie i pomyślał coś o wieczerzy, ja odprzągłem woły i konie i zarzuciłem im siana za drabiny. Aż tu patrzę, najeżdżają dwaj ułani, jeden na krasnym, drugi na siwku. Zeskoczyli z koni; jeden przeszedł się po stajni, a widząc nie bardzo dogodne miejsce dla swoich koni, owiezie się do mnie:

— A no mospanie, precz z temi hetkami!

— Zapłać wasze gospodarzowi tak jak ja — odparłem ułanowi — to on ci zrobi miejsce dla twoich koni.

— Milcz trutniu! — krzyknął ułan — i rób to co ci każe, albo cię zwalę.

Na to wyjąłem lusznę z woza i rzekłem:

— Przystąp no bliżej, jeśli chcesz bym ci twoją błyszczącą czapkę wbił poniżej uszu.

— Co, ty?! — wrzasnął ułan...

I Bóg wie coby się było z nami stało, gdyby był nie wyszedł w tej chwili mój stryj do sieni i nie załatwił sporu, zapraszając wojaków do szklaneczki.

Pomieszczono konie i zasiedliśmy w zgodzie u stołu. Starszemu wążaczowi podobała się moja śmiałość. Żywo nam szła pogadanka; oni nam o swoim, my im o naszym prawili. Mówiło się dużo, a od serca... a były i łzy. Nie wyszło godziny, zwerbowali mnie panowie wojacy. Nazajutrz odjechał mój stryj sam, pobłogosławiwszy mnie w imieniu ojca.

Cztery lat mi przeszło, a jak? Bóg wie tylko i to serce. Z ułanem, który mnie napastował, byliśmy potem jak bracia. Powróciwszy do domu, nie zastałem już ojca; był w grobie. Spłakałem, lżej mi się zrobiło na sercu, gdy mi powiedziano, że umierając błogosławił mi. Od tej chwili nie ruszałem się krokiem z gór moich.

Jeszcze jakiś czas posiedzieliśmy; czerwony księżyc schylał się w półpełni po za Dżemir, a kur oznajmił paniem, że północ minęła. Rozeszliśmy się, on z wieczorną modlitwą, ja z przekonaniem, że w tej prostej, szczerzej pierśi znalazł więcej głębi ducha i myśli, niż w tysiącu napuszonych ksiąg.

Na drugi dzień oprowadził mnie mój gospodarz po swoich krewnych, kumach i znajomych, wkrótce zaznałem się z pół Berezowem. Wszędzie byli nam radzi według starego zwyczaju: Gość w dom, Bóg w dom. Nie potrzebowałem długich studjów do poznania stosunków, cnót i wad tego zaścianku. Głównym grzechem szlachty tamtejszej jest pieniactwo, choćby o kozią skórę;



Targ w Berezowie, 1935 r. (fot. S. Hochman)

cnót głębokich przechowało się wiele; góry rodzinne zasłaniają ich od trujących powiewów.

Kilka dni zeszło mi na odwiedzinach między panami braćmi; choć cierpiała na tem moja gorąca żądza puszczenia się w góry, nie żałowałem tego wcale: tyle bowiem znalazło się wspólnych strun, taka nieraz była zgoda uczuć i myśli między mną książkowcem, a nieumiejącami przeczytać nawet swego pergaminu, że serdeczny brał żal rzucać ich tak nagle. Po bliższem bowiem pozyciu uprzytomniła mi ta gromadka szlachty wiele stron naszych ojców z czasów Bolesławowskich, kiedy rycerz rzucał pług dla miecza, a zawiesiwszy miecz brał potem pług we własne ręce. Chociaż nasz zagrodowy szlachcic nie posiada żadnego książkowego wykształcenia, stoi jednak moralnie nierównie wyżej od nieszlachcica wieśniaka, nawet we względzie domowego pozycia. Pierś jego przepełniona jest tradycją przeszłości, naturalna prostota chroni go od upadku, a stan rzeczy obecny pojmuje jasno.

Czwartego dnia mojego pobytu w Berezowie wracałem jakoś z południa już od panów braci. Na drodze ciągnącej się wzdłuż rzeczki Łungi stał krzyż drewniany, na nim Zbawiciel wyciosany z lipiny. Nawykły patrzeć na monstra, mające przedstawiać po wsiach i miasteczkach naszemu ludowi świętych, zdziwiłem się nie pomału, ujrawszy w Berezowie, nie mającym najmniejszej wyższości od wsi innych okolic we względzie gustu malarskiego i rzeźbiarskiego, rzetelnie dobrą postać Zbawiciela.

Najmocniej zajęła mnie twarz z czystym wyrazem bólu i miłości, o cieniona puklami spadających włosów, w ciernistej koronie; ciernie zaś były z naturalnością do zdumienia oddane. Długo przypatrywałem się tej figurze, domyślając się, że ją tu pewnie postawił ktoś z kąpielowych, przebywający w Berezowie na żętycy, gdy wtem ozwał się głos:

— Co się tak wpatrujecie, paniczu?

Spojrzałem — przedemną stał za opłotkiem zagrody szlachcic-góral, w krótkiej siermiedze, łagodnej ale wyrazistej twarzy i ciemnych oczu, lat może zwyczaj trzydziestu. Zbliżyłem się więc do niego i rzekłem:

— Patrzyłem, bo to piękna robota.

Góral spuścił oczy i cichym ozwał się głosem:

— To ja rzeźbiłem i postawiłem blisko mojej chaty, która ot za temi drzewami.

— Wy?! — odparłem zmieszany trochę odpowiedzią — a gdzieżecie się uczyli rzeźbiarstwa?

— Ja się nigdzie nie uczyłem — rzekł góral — od dziecka jakoś lubiłem strugać i czasami uda mi się coś zrobić. Ależ chodźcie do chaty mojej na chwilę, tam wam więcej pokażę.

Rozciekawiony do najwyższego stopnia poznać bliżej tego człowieka, szedłem przez chwilę za nim w milczeniu, aż stanęliśmy przed chatą na obszernym podwórzu, gdzie między sprzętami gospodarskimi leżało kilka suchych kłód lipowych, zapewne materiał do przyszłych prac.

— Racście wejść — przemówił góral — czem chata bogata, tem rada.

Podziękowawszy, wszedłem do czystej izby, która niczem właściwie nie różniła się od innych izb szlachty zagrodowej, czuć w niej jednak było więcej ducha. W jednym kącie stała zaczęta robota, między obrazami nad stołem był zręcznie wyciosany, nie malowany krucyfiks, na białym przypiecku leżały rzeźbiarskie dłuta, nożyki, ołówek, piła i barda. Kiedym się rozglądał, żona rzeźbiarza, smukła, o dużych niebieskich oczach blondyna, nakryła stół białym płótnem i postawiła chleb, sól i plaster miodu na misce, on sam wyszedł do sieni po ukończone roboty. Wkrótce powrócił z niewielkimi statuami Najświętszej Panny, św. Pawła i św. Mikołaja. Oglądając je, dostrzegłem tak uderzające różnice w rzeźbieniu, że mimowolnie zawołałem:

— Świętego Mikołaja rzeźbiliście najpierw, potem św. Pawła, potem Najświętszą Pannę, a ostatnią waszą pracą jest Zbawiciel na krzyżu przy drodze.

— Tak jest, panie — odparł góral — łatwo to dostrzedz, bo jedno jest lepsze od drugiego.

I począł mi sam wskazywać wady w postaciach pierwszej rzeźbionych, ich zmniejszanie się w późniejszych, a czem szerzej on o tem z całą naiwnością prostoty rozprawił, tem więcej rosło moje zadziwienie nad tem dzieckiem natury i intuicji, które nie wiedziało, jaki skarb ducha posiada. Kończąc swoje uwagi, rzekł góral:

— Wiem ja jakie to jest; ale jeszcze inne by to być mogło.

I umilkł, a na jego dobroduszej twarzy został się wyraz głębokiego ducha, który sobie form znaleźć nie może, i cierpi, choć nie świadom przyczyny.

— Dawno oddajecie się tej pracy? — zapytałem.

— Ho! jeszcze bym był pastuchem na płoninach, kiedym wystrugał krucyfiks dla starego księdza proboszcza. Od małego chłopca miałem do tego ochotę. Bywało coś robię — robię, a jak mi się nie udaje, to myślę o tem, aż mi się śni; i wyśni mi się wszystko, jak co robić, jak czego użyć, jak to potem będzie wyglądać. Tak zrobiłem krzyż procesjonalny do naszej cerkwi i św. Pawła. Będąc na jarmarku z wołami w Stanisławowie, widziałem statuę Panny Maryi przed kościołem farnym, powróciwszy wyciosałem ją z pamięci; a Pana Jezusa, coście go na drodze oglądali, to już tak ze siebie. Nim co zacząć robić, rysuję sobie w pierw ołówkiem na papierze; rysując, długo myślałem nad tem, czy się tak pismo nie rysuje? Od naszego diaka dostałem takie pisane litery i potąd rysowałem, aż nauczyłem się trochę pisać, ale to bardzo trudno.



Huculi przed kapliczką w Żabiem (fot. J. Konopacki)

— Nie zamawia u was czasem bractwo robót do cerkwi? — zapytałem.

— Ta czemu nie — zamawia. Na Słobodzie robiłem koło ołtarza, do naszej cerkwi robiłem krzyż, ale ja z tego nie żyję. Kupi kto u mnie, to dobrze; a nie kupi, i ztem mi nie krzywda: robię, bo mi jakoś miło przy tej robocie.

Kilka godzin zleciało mi jak chwila z tym człowiekiem. Wieczór się zrobił na dobre, czas było do domu. Rzeźbiarz, rad znać, że się miał przed kim wygadać, odprowadził mnie aż do chaty, w której mieszkałem. Pożegnawszy się z nim serdecznie, myślałem długo co by się było stało z tego człowieka, gdyby był to ziarno twórcze na takie skały nie rzucił.

Rzeźbiarz ten zwie się Iwan Bodruk Berezowski, herbu Sas.

W ostatni dzień lipca puściłem się z następczym mi przez mego gospodarza przewodnikiem ku Dżemirowi. Stamtąd miałem obaczyć całą przestrzeń gór ku Węgrom i puścić się potem wierzchami płonin w dalszą drogę⁵. Trochę chleba i ołowiu w torbie, róg z prochem i dwururka przez plecy były całym przyborem podróży. Uciążliwość dróg nie pozwala się obciążać czemś więcej; a zresztą zapewnił mnie przewodnik, stary szlachcic, że w każdym szalasie będą nam serdecznie radzi, przenocują nas i pożywią.

Wąską i stromą ścieżką pomiędzy kamienie i świerki poczęliśmy się wdzierać na górę. Czem bliżej szczytu, tem było przykrzej; ale za to jakże sownie wynagrodziła mi trud każda chwila wytchnienia nagle odsłaniającym się widokiem. W godzinę stanęliśmy na szczycie, a w pierwszej chwili nie widziałem, co chwycić oczyma — czy setne łańcuchy skalistych i lesistych gór, wijących się w najrozmaitszych kształtach, czy bezbrzeżny kobierzec zielonej równiny, przecięty kilkakrotnie srebrnymi szarfami rzek i smugami lasów, między którymi bieleły się miasta i wsie jakby od niechcenia porozrzucane kupy kamieni. Przewodnik mój skinął mi ręką — tam Kołomyja, a tam Stanisławów, hen jakby w kurzawie. Spojrzałem, a miasta oddzielone prawie 10-milową przestrzenią, zdały mi się ledwie na mile odległe od siebie.

Całą naddniestrzańską okolicę naszego Pokucia miałem przed oczyma. Podole majaczyło się w jakiejś gazy błękitnej mgły. Prut pod Kołomyją i Czarny Czeremosz dalej wydawały się jak węże pełzające w trawach, a Dniestr, ten wspaniały Dniestr albo niknął z oczu, lub ukazywał się gdzieś niedaleko tylko na kształt srebrnego pyłu, poruszonego powietrzem.

Nakarmiwszy oczy widokiem, niezacierającym się nigdy w pamięci, ruszyłem dalej. Ścieżka wiodła nas długo równym i nieosłoniętym grzbietem Dżemiru ku wyższemu Capułow; miałem przeto sposobność przypatrzeć się dwóm obok siebie rozwijającym się raz w mniejszej, raz w większej odległości łańcuchom gór, z których niższy składał się z Bukownika, Kniażego Stołu, Kaniugi i Worochty, wyższy wyginał się Dżemirem, tworząc ze Średnim Lasem kamieniste łożyska dla źródeł Lungi, i biegł ku zachodowi Rokietań z dalszemi

⁵ Trasę wędrowki Romanowskiego można prześledzić na reprodukowanym na VI stronie wklejki kolorowej fragmencie austriackiej mapy *Franzsische Landesaufnahme* pochodzącej z tego mniej więcej okresu.

jej siostrzycami. Ku wschodowi zaś Capulem, łączonym z nim bogatym w solne szczyty Rotundulem, Kuratulem i dalszemi szczytami, których miana nie były mi dotąd znane. Pochyłości obu łańcuchów pokryte na przemian to ciemną jełdliną, to jaśniejszej zieloności bukami, to najeżone skałami, tworzyły tę piękną dolinę, w której rozsiane są chaty Berezowa.

Dalej w zagięciu doliny ku południowi ukazały się: Tekucza, Kosmacz i Akreszory. Dziwnem uczuciem napawa widok wsi, rozrzucanych pomiędzy pasmami gór; czuć nad nimi jakąś senność, jakiś spokój słodki, w powietrzu rozlane. Takie też i życie górala. Czasem tylko wzburzy się pierś gwałtownie i urodzi czyn straszny, nawałnicę, rzuconą niekiedy niszczącym wiatrem z wyniosłych szczytów płonin na spokojną dolinę; potem znów na długo cisza i w sercu, i w chacie, i w dolinie.

Weszliśmy w ciemny jodłowy las, zasłaniający nam widoki. Hojnie jednak wynagrodził mi tę krzywdę, otaczając mnie cieniem, i wrażeniem, którego tam doznawałem. Zdało mi się bowiem, że wszedłem do jakiejś świątyni, gdzie zielone gałęzie splotły się w sufity, udrapowane bogatemi bisiorami⁶, a kolumnadę filarów jakiegoś gmachu bez końca tworzą latami poważne jodły i świerki. Nie dziw mi, że nasi praojcowie z czasów przedchrześcijańskich naznaczyli w borach pomieszkania swym bogom, bo nie wiem, czy może być gdzie więcej uroczystej powagi, grozy i ciszy jak w takich borach.

Po godzinie chodu stanęliśmy na berezowskiej połoninie Capuł. Dzwonki dające się słyszeć oznajmiły, że jesteśmy w pobliżu trzody owiec, skotarni⁷ i szałaszu. Jakoż niedługo ujrzelśmy białą gromadkę rozbiegłą po wonnym trawniku. Na boku paś się samotnie największy z całej trzody biały baran, z krętymi rogami i dzwonkiem uwiązany do szyi. Wkrótce powitał nas rosły, ogorzały na słońcu i w dymie skotarni parobek w krótkiej siermiędze, z toporem i sopiałką za pasem. Rozmawiając, szliśmy za nim ku szałasowi. Tu umyśliliśmy posilić się południowym chlebem, do którego nam pastuch udzielił hojnie świeżej bryndzy i masła. Zasiadłszy, gawędziliśmy to o pogodzie, to o wydatkach mleka, to o postrzyżonym runie tegorocznem, ale podzwaniający od czasu do czasu baran zwracał na siebie ciągle i pastucha uwagę.

— Pociście mu uwiązali dzwonek do szyi? — zapytałem zniecierpliwiony w końcu.

— A to całe moje utrapienie ten baran — rzekł z indygnacją pocziwy góral. On sam tyle nie wart, ile mi już kłopotu narobił. Proszę pana, tam w uboczu pod skałą jest siedmioro sarn; jakoś w maju wyszły z lasu wszystkie siedm

⁶ Bisior — cienka tkanina używana w draperiach.

⁷ Skotarnia — owczarnia, owczy koszar.

na pastwisko pomiędzy trzodę, nikt ich nie płoszył, toż chodziły z półgodziny swobodnie. Baran mój był między niemi, widziałem to, ale myślałem, jedno stworzenie nie boi się drugiego, ta pasą się razem. Nie długo odeszły sarny. W godzinę może potem, zapędziłem owce na noc do skotarni, rachuję sztuki, a barana nie ma. Proszę pana, to nieszczęście moje odbłąkało się i poszło trop w trop za sarnami!... A żeby cię choroba!... pomyślałem; zostawiwszy wydój młodszym chłopcom, wziąłem kostur i poszedłem go szukać. Oj! nałaziłem się całą noc po górach, i aż nad rankiem znalazłem go na mikulczyńskiej Polanicy, pasł się tam urwis obok młodej sarneczki. Pomalutku zacząłem się zbliżać; sarny uciekły, a ja baranowi sznurek na nogi i hajda do skotarni. Zaraz zawiesiłem mu dzwonek, aby go znaleźć, skoro się obłąka, bo od tego czasu często się gdzieś podziewał, ale znachodziłem go zawsze po głosie dzwonka.

Wstałem, aby się przypatrzeć bliżej temu ciekawemu stworzeniu. Był to sobie baran jak wszystkie barany; z jego fizjonomii nie mogłem się doczytać wyrazu awanturniczego kochanka, i owszem malowało się w niej dużo łagodności i naiwnej głupoty. Pasł trawę z apetytem, dał się brać za rogi, kręcić za uszy. Zdziwiłem się, jak mogła sarna, taka lotnoidealna istota, mieć przyjemność w towarzystwie takiego barana?! Słowem, było to bardzo pocziwe stworzenie. Opuszczałem przeto gościnnego skotarza z wszelką nadzieją, że ten baran porzuci wkrótce nie potrzebne urojenia, opamięta się i powróci raz na zawsze, jak wszyscy jego krewni i powinowaci na bożym świecie, na ubity gościniec praktycznego żywota.

Ciemny las otoczył nas znowu, wiatr wkradając się pomiędzy gęste gałęzie, odsłonił nam czasem trochę widoku na błękitne niebo. Chwiejąc gałęziami, oblewał nas jakby z kadzielnicy wonią żywicy i jałowcu. Byliśmy na Kuratule. Sąsiad to najbliższy Capuła, odmiennego jednak lica. Ciemność jego wprowadzie ta sama co na Capule, lecz wyraz jej dzikszy i smutniejszy. Tam przewiewa jakiś duch powagi, tu rozrzucone olbrzymie, mchem porośłe głązy, nadają mu charakter cmentarzyska. Widać po nim, że on nie był takim, a te dziwnych kształtów kamienie, będące dla mnie tylko hieroglifami tworzącej i przetwarzającej się przyrody, stałyby się może dla geologa pismem rozwiązującym zagadkę jakiegoś olbrzymiego zdarzenia. Nawet roślinność tej góry różniła się zupełnie od bogatych traw i kwiecica, które widziałem po innych wierzchołkach. Prócz jodeł, świerków, jałowca i karłowato rosnącego buku, nie było tam nic, jeno gdzie niegdzie kupiny ostrej kończatej trawy, paproci i trującego samozielu⁸. I w ogóle, nie tylko ten ponury Kuratuł, ale i góry weselszego wejrzenia mają na sobie wyciśnięte piętno śmierci lub powolnego zamierania;

⁸ Glistnik jaskółcze ziele (*Chelidonium majus* L.).

tylko, że jedne dziksze i zamknięte rażą więcej, drugie w zieloności traw, drzew i z otwartym widokiem na przestrzenie równin, łudzą pięknnością.

Nie zna gór, kto je mieni światem życia. Przeciwnie, jest to kraina olbrzymich grobów. Mimo całej wyniosłości i okazałości za ciasno tu życiu; nadto skamieniałe wszystko, aby się mógł jakikolwiek ruch rozwinąć. Burza niekiedy przeleci na kształt konwulsyjnego drgnienia — po głuchym huku czuć, że coś zatrzęsie czasem trzewiami tych kolosów. Piorun upada z nieba i rozpryskuje się bezsilny o głąz, w który uderzył. Co zniszczyć, przetworzyć się nie da — w tem nie ma życia.

Weselszego są już wejrzenia Kosmacka-Stereszora i Wedeskułów-Gruń⁹, choć oddalone od ponurego Kuratułu tylko małą wklęsłością. Przechodząc ich grzbietem, miałem miejscami otwarty widok na trzeci łańcuch gór, do którego należą Wedeskuł i Pożeretuł, Żołnierka¹⁰ i Żabiowska Hordia, wierzchy piętrzące się nad sobą w kształcie schodów, których ostatnim stopniem jest Czarna-góra.

Łagodną pochyłością poczęliśmy się spuszczać w dół ku rwącemu strumieniowi, przedzielającemu Gruń od Wedeskułu. Szum tłuczącej się o granity wody dochodził do nas dokładnie, choć mieliśmy jeszcze spory kawał drogi do brzegu. Z początku miał on tak łudzące podobieństwo do odgłosu dalekich gromów, żem zapytał mego przewodnika:

— Czy to grzmi?

— Nie, panie — odpowiedział — to woda huczy w dole.

— Wiem, musi być któraś z większych rzek, kiedy tak szumi gwałtownie?

— Nie, panie, ale ma bardzo wielkie kamienie na drodze.

Zamilkliśmy oba, a mnie znów przyszła na myśl uwaga, że góry nie są światem życia, bo tylko o kilkanaście kroków odemnie wyrwał się z gwałtownym krzykiem żywy źródło kryształowy z ciasnego, kamienistego objęcia, aby się co rychlej rozlać i rozszerzyć gdzieś daleko stąd, po miękkich dolinach naszego opola.

Było już po trzeciej z południa, kiedyśmy u strumienia stanęli. Dziwnie wyglądał ten źródło, walczący z takimi przeszkodami. Kilkanaście kroków idąc wzdłuż brzegu jego, widziałem go co chwila innym. Raz wyginał się jak wąż, raz niknął gdzieś zupełnie z oczu pod stopami omszonego kamienia, to znowu się ukazał i spadał małą kaskadą jak srebrny włos z głowy na barki starca.

Widok mieliśmy ze wszech stron zamknięty. Za plecami wznosił się teraz Wedeskułów Gruń, przed sobą mieliśmy stromy Wedeskuł i stromszy od niego

⁹ Być może Stewiora (1126 m).

¹⁰ Żołnierski (1301 m), właściwie Żołnierski Płaj.

Pozeretuł. Obu gór pochyłości pokrywały ciemno-zielone jodły, Pozeretuł si-
niał się z daleka, dopiero z Wedeskułu miałem mu się bliżej przypatrzeć. Nad
sobą mieliśmy jasny i pogodny błękit.

Usiadłem na mchu i marzyłem o... niebieskich migdałach. Bo w górach
musałem marzyć koniecznie; samo położenie moje zniewalało mnie ponie-
kąd do tego. Siedzenie z mchu, oplecione wrzosami, u stóp moich strumień
grający — góry objęły mnie w zielone ramiona, ach! — a nade mną słońce,
patrzac zyzem; to wszystko... Z resztą, nie doznawszy podobnych wrażeń, cóż
opowiadałbym powróciwszy na doły duszom, pływającym w sentymentalnych
dźwiękach. Przypisano by mi herezję pod względem ah! oh! etc.

O sławę w tym względzie jestem dbały, więc musiałem się w ten komfort
uzbroić. Byłbym tam przesiedział z pewnością do ciemnej nocy, gdyby nie
komary, wiodące tam, co do pokarmu, życie bardzo duchowe, bo chyba jaki
podróżnik przysłuży się swoim nosem raz w miesiąc tej zgłodniałej rzeszy
miljonów, i mój mniej marzycielski przewodnik, który obudził mnie z słodkiego
dumania, przemówiwszy:

— Paniczu! komu w drogę, temu czas. Zanocować by nam u mego znajo-
mego skotarza pod Pozeretułem, a przed nami jeszcze Wedeskuł. Jak na dziś,
diabło spory kąsek.

Wstałem więc, otrzepałem się z marzeń i komarów i ruszyliśmy. Wrzосу
atoli gałązka, czulsza odemnie, czepiła się mocno mojej sukni i opuściła ro-
dzinne miejsce, aby dzielić z zapalnicem pełną awantur wycieczkę. Widząc
że mi nie zawadza, nie broniłem jej tego, wiedziałem zresztą, że mnie sama
opuści, skoro tylko zwiędnie.

Pierwszą istotą żywą, którąśmy na tej ścieżce zdybali, był orzeł, siedzący
na skale; popatrzył na nas i wzleciał. Piękny był wznosząc się wolno w błękity,
patrzałem za nim, za chwilę wisiał on jak czarny punkcik, ledwie widoczny oku
pod niebem. Zapomniałem powiedzieć, że w głębszych górach nie zdybie się
żadnego z naszych ptaków opola. Ani wrony, ani sroki, ani pocziwych wró-
blów, ani tej świegotliwej rzeszy ptasząt, ożywiających tak nasze dąbrowy na
dołach, nie widziałem tu nigdzie; jeden kruk tylko pokazał się czasem. Prze-
mieszkują za to w górach orzeł, sęp, kania, ogromny skalny puhacz, jarząbek,
cietrzew i głuszec; na wiosnę i w jesieni zalatują tu w gościnę roje paszkotów
i słomek.

Długo pięliśmy na Wedeskuł. Ścieżka wiła się pomiędzy rozpadlinami,
których fantastyczne ubocze oplatały dzikie powoje, bluszcze i wrzosy, oży-
wione tu i owdzie błękitnym świeczywnikiem lub złotą dziewanną. Od dołu aż
do szczytu wznosiły się dwie zielone ściany świerkowego boru, tworząc jakby
umyślnie wyrąbaną linię. Ale odkąd las ten lasem, nie było w nim jeszcze

siekiery. Drzewo wyrosło, spruchniało, opadło; na jego miejscu kiełkuje już drugie, aby przejść te same koleje. Inna tu ręka przecięła ciemny smug lasu; od topiących się na wysokiej płoninie śniegów z wiosną wezbrane wody lecą tedy prawie pionowo na dół i porywają, co tylko zastaną na drodze.

Czem bliżej szczytu, tem coraz więcej karłały świerki, mogiłę nagiego szczytu opasały zielonym wieńcem niskie kosodrzewy. Stanąwszy tam, nie oglądałem się ani za siebie, ani na strony, całą moją duszę zajął swoją dziką pięknoscią piętrzący się jeszcze raz tu wysoko Pożeretuł. Środkiem opiera się o Wedeskuł, lewem ramieniem o równej prawie wysokości Żołnierkę, prawem o Hordię. Jakby na barkach tych dwu gór, wznosi się kolos, najeżony skałami i szkieletami zeszcłego do szczytu lasu, w kształcie olbrzymiej trumny. Słońce posunięte już ku zachodowi oblało go czerwonym światłem, z którego tem wybitniej występowały szkielety drzew. Zdumiony tem, domyślając się tylko jakiegoś strasznego zdarzenia — zapytałem mego przewodnika: co by to znaczyć miało?

— Tu był najpiękniejszy las modrzewiowy — odpowiedział mi na to starzec — a było to panie w roku 1829. Pamiętam jak dziś, bo już byłem wtedy parobkiem. W lecie nastała posucha taka, że ledwie stało wody człowiekowi na napój, a było aż ginęło z pragnienia. Co to wtedy ludzi zubożało, strach wspomnieć. Nie mając czem pokarmić i napoić, bo trawy starły się od skwaru na proch, a wody wyschły, sprzedawali ludzie bydło za co bądź; parę wołów mogłeś pan kupić za 12 sorokowców, a z końcem czerwca stało się tak gorąco, że lasy same się zapaliły. Otóż jakoś w dzień lipcowy, byłem wtedy na wierzchu Capułu, zakurzyło się mocno nad Pożeretułem¹¹. Myślałem, że to Bóg zesłał deszczową chmurę. Nagle podniósł się czarny obłok ku niebu, a za nim wystrzelił płomień pożaru tak wielki jak cała ta góra. Zwierząt ryk okropny rozległ się po górach. Panie! co się wtedy działo, nie ma duszy na świecie, która by to panu ludzką mową opowiedziała. Przez czternaście dni i nocy gorzał las nieustannie; ani ziemi, ani nieba, ani słońca nie było widać, tylko płomienie i dym; a z tego widzisz pan co zostało!

Sam nie wiem jak przeszedłem przez Wedeskuł, bo oczy moje i myśl, i dusza wlepione były w okropną górę, którą mi fantazja malowała w płomieniach. Z tego strasznego snu ocuciło mię nagle szczekanie kudłatego brytana i głos groźny:

— A pójďte! a do budy, Motyl!

¹¹ Pożeretuł to nazwa utworzona od archaicznego dziś rumuńskiego słowa *pojar* „pożar, gorączka”, które z kolei w języku rumuńskim ma niewątpliwie korzenie słowiańskie. Przytoczona przez Romanowskiego opowieść Hucuła odnosi się więc zapewne do autentycznego wydarzenia.

Długo opierał się ten wcale nie motylowy brytan rozkazowi i rzucał się na nas; usłuchał wreszcie rozkazującego mu dobitniejszym gestem starego hucuła i zwinął swoje skrzydła pod budą, okazując od czasu do czasu, zapewne wskutek jakiejś niedyspozycji, potężne zęby. Byliśmy w kosmackiej skotarni na Wedeskule.

Po pozdrowieniu w imię Boga i rozpytaniu się zkąd? a gdzie? a poco? — zapytał hucuła mój przewodnik, w którym się odezwała myśliwska żyłka, czy nie wie gdzie o tarle jarząbków. Hucuł, znać także myśliwy, ofiarował się w tej chwili nas tam zaprowadzić.

— Chodźmy! — krzyknął mój przewodnik, biorąc strzelbę. Zaprotestowałem temu wręcz, chcąc się pierwszej posilić; widząc jednak w obu starcach tak gorącą chęć strzelania jarząbków, przyzwoliłem na to z warunkiem, aby wpierv rozpalono ogień i nastawiono wody w kociołku na kuleszę.

— Małanko! — zawołał stary hucuł.

Na to zjawiła się z drugiego szałasu wysmukła jak młody świerk, ładna blondyna, a otrzymawszy od ojca rozkaz zajęcia się zgotowaniem wieczery, wzięła się do roboty, my zaś ze strzelbami poszliśmy do lasu.

Godzina może była do zachodu słońca. Stary hucuł rozstawiwszy nas na ścieżkach, począł się odzywać na wabiku, piszczałce z kurzej kości i wnet dały się słyszeć głosy jarząbków. W krótkich potem przeciągach czasu padły trzy strzały, których echa odbijały się prześlicznie od załomów czerniejącego w nocy Pożeretułu; przy gwiazdach wracaliśmy ku szałasowi zadowoleni, bo każdy miał zwierzynę na troku. Ale jakże smutno zrobiło mi się na widok takiego tableau: ogień wygasł, Małanka spała snem sprawiedliwych pochylona nad kotłem; kocioł był próżny, a przy dziewczynie stał brytan Motyl i warczał na nas, dławiąc się ostatnim kęsem kuleszy. Odpędziwszy psa budzę ją:

— Małanko! a gdzie wieczera?

Zbudzona spojrzała na kocioł, złękciona przeżegnała się trzy razy, splunęła od czarów i ozwała się żałośnie:

— Aj! to uroki, uroki! kulesza zbiegła w ogień i spaliła się.

— Ależ dziewczę! — zawołałem — to nie uroki, jenoś ty zaspiała, a pies zjadł kuleszę.

Małanka popatrzyła na zdrajcę Motyla z niedowierzaniem. Ach! musiała niestety uwierzyć prawdzie słów moich, lecz jeszcze była zemsty daleką. Dopiero mój zagniewany przewodnik ozwawszy się:

— Aj Małanko, Małanko! co z ciebie za dziewczę, kiedy ci pies z pod nosa wyjadł kuleszę — obudził w niej to straszne uczucie. Wtedy chwyciła za kij i poczęła kłąć Motylowi:

— A bogdajbyś był djabła zjadł! bogdajesz się być choroby najadł, Motylu, a nie kuleszy.

Nic nie pomogły zemsta i klątwy. Małanka musiała powtórę rozpalić ogień i wziąć się do kuleszy. Po wieczery udaliśmy się zaraz na spoczynek, bo nazajutrz chciałem przed świtem jeszcze puścić się na Pożeretuł. Oba z przewodnikiem ułożyliśmy się na darni, pokrytej wrzosem i mchem, dach nad nami tworzyło niebo, pobite gwiazdami.

Szarzeć ledwie poczynano, kiedyśmy się obudzili. Wszystko do koła nas otulone było grubą mgłą tak, że trudno było o kilkanaście kroków rozeznąć przedmioty. Niebo poczynające się rozpłomieniać na wschodzie, i rysujące się czarno w tym ogniu wynioślejsze szczyty nad nieprzebitego tumanami mgły, nadawało tej krainie wyraz pierwotnego chaosu. Wpatrzyłem się w ten obraz rodzącego się poza górami światła; mój przewodnik skończywszy tym czasem poranny pacierz, skinął na mnie, że czas nam w drogę.

Daremne byłoby opisywać, z jakimi walczyliśmy trudnościami, nimeśmy się dostali na wierzch. Straszna to droga! Były miejsca, żeśmy się prawie pionowo wdzierali na skały, pomagając sobie czepianiem się bogato zwisających bluszczów i wrzosów. Z jedną urwaną gałązką w dłoni, mogliśmy się nagle obaczyć w bezdennej przepaści. Drogę czyniły uciążliwą leżące na pół zgorzałe kłody modrzewiu, które potrzeba było przełazić; do tego mgła, podnosząca się prawie równocześnie z nami ku wierzchowi, zmuszała nas nie raz do przeczekania w najprzykrzejszym położeniu, w miejscu gdzie się mąciło w głowie i ćmiło w oczach.

Strach zbierał ogłądnać się po za siebie, raz tylko spróbowałem, trzymając się mocnego splotu wrzосу, i miałem widok prześliczny na góry w półblasku, z zapadającym księżycem na zachodzie, ale drugi raz nie pozwoliłem sobie tego, bo mogłem drogo tę chwilę przepłacić.

Po dwugodzinnym chodzie stanęliśmy na szczycie. Z dziesięć minut otaczała nas najgęstsza mgła. Na pogodę wybierało się, więc wszystka mgła skupiła się u szczytów. Nad nami było niebo wpół szare, wpół już błękitne, wschód palił się najżywszymi barwami, rozszerzając półkole płomienia coraz więcej; w dali nad blado ozłoconymi szczytami Karpat bukowińskich, przesuwwały się różowe chmurki, poczynano się życie dnia, ale czuć było, że górską krainą jeszcze śpi.

Mgła zaczęła się związać w kłęby zarumienione od nieba i spuszczać się od wierzchu w głąb. Zwolna ukazały się szczyty trzech łańcuchów gór, różnie oddalających się od siebie, nad którymi panował wysokością Pożeretuł¹² —

¹² Wszystko wskazuje na to, że Romanowski wszedł na Łysinę Kosmacką (1466 m), nie zaś na szczyt obecnie zwany Pożeretulem (1406 m), Huculi bowiem Pożeretulem nazywali cały grzbiet Łysiny Kosmackiej.



Kosmacz. Panorama wsi i okolicznych wzgórz (fot. Jan Rychter)

tu i owdzie wystąpiły to skały, to płoniny, to lasy w różowych obłonach. Nagle potem szczyt Krętej błysnął jak wulkan, różowe światło nieba i gór zmieniło się w złoto najczystszego blasku, mgła upadła całkiem, lub unosiła się na kształt białych łabędzi po nad lasy. Przy wstającym słońcu rozwinął się

przedemną najcudniejszy widok na trzy łańcuchy gór, na rozsiane między nimi po dolinach wsie, poprzerynane wstęgami rzek i strumieni, na opola stron naszych, zlewające się gdzieś daleko z niebem w jedno. A wszystko to szkiło się w brylantach bogato rozsianej rosy.

Szczyt góry, na której stałem, ciągnął się długim grzebieniem ku zachodowi, a tworzyły go dziwnym sposobem jedne na drugie nawalone olbrzymie kamienie. Między nimi sterczały lub leżały smutne zgorzeliska lasu, ozielenione tu i tam jakby na śmiech bluszczem, wrzosem lub żurachwiną¹³.

Drugi krajobraz równej piękności, dzikszys jeno o wiele, miałem patrząc na czwarte pasmo Karpat rozciągnięte za Pożeretulem. To lesiste, to skaliste grzbiety piętrzyły się nad sobą. Rzadko gdzie obaczyło się chatkę jaką w tej stronie, kilka orłów krążyło ponad doliną za łupem. Czarna-góra raczyła odsłonić lice z tumanów mgły. Dwa ośnieżone jej szczyty błyszczały jak dwie złotem pokryte baszty, nad nieprzebytą twierdzą gór.

Gdyby mi był czas pozwolił, byłbym ją z pewnością odwiedził w tym roku. Trzeba było wracać, więc umyśliłem zwrócić drogę moją na Mikuliczyn.

Poczęliśmy się spuszczać zachodnią stroną góry, schodzenie było trudniejszym o wiele, niż droga na nią. Z ciężką pracą dostaliśmy się po niej jakimś upływie czasu na miejsce, gdzie się z pod niej wyrwa w szalonych skokach Prutec, a o kilkadziesiąt kroków pod Szczekaliską górą¹⁴ już płynie jako spora rzeczka.

Idąc wzdłuż Prutcu, miałem się rozpatrzeć po zachodniej części gór, ciągnących się w Stanisławowskie, i na noc stanąć w Mikuliczynie.

Rzeczkę nazwał lud zdrobniało Prutcem, bo niedaleko od niej starszy i silniejszy brat Prut cudów przed Dorą dokazuje, spadając dwoma potężnymi ramionami ze skał. Brzegi Prutcu, mimo ponurego cienia, który je osłania, prześliczne. Po obu stronach wznoszą się góry, pokryte to jodłowemi, to bukowemi lasami; w kilku miejscach pionowo wystające, granitowe skały, ubrane w zielony mech i bluszcz zmuszają go do dziwacznych zakrętów, a wtedy zdrojź zżyma się, tłucze o granit gwałtownie i szumi. W innych miejscach dociera las aż do wody i zdaje się, że piękne, wysmukłe góralki-jodły umyślnie zbiegły na dół, ażeby umoczyć swe zielone spadające warkocze w żywym zdroju; gdzieindziej sterczał znowu po obu stronach wielkimi szmatami, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, zupełnie wyschnięty las; tam było koryto zdroju szersze, a Prutec

¹³ Prawdopodobnie chodzi o borówkę brusznicę (*Vaccinium vitis-idaea* L.).

¹⁴ Szekelówka (1291 m).

płynął ciszej, jakby z modlitwą za umarłych. Taką drogę mieliśmy przez całe trzy godziny aż do góry Dziadowa-broda¹⁵, nad samym prawie Mikuliczynem.

— I zkażde znowu ta nazwa? — zapytałem przewodnika.

— He! — uśmiechnął się starzec — tu stała się śmieszna rzecz, proszę pana. Nasi ojcowie ją zapamiętają.

— A cóż takiego?

— At nic wielkiego — odparł góral. — Zapewne pan wie, że do niedawna bywali tędy opryszki, a był między nimi krzepki, brodaty dziad, który im co soboty mówił ewangelje i pacierze z pamięci. Oj! co oni napozbawiali ludzi zdrowia a pracy! Po tamtej stronie góry jest płonina Mikuliczyńska, Polanica. Na Polanicy pasły się zawsze trzody. Zmiarkowali to opryszki, toż ile razy trzeba im było pieczeni, posyłali dziada po owce. Dziad wpadł, chwycił jedną lub dwie i umykał, a pastuchy bali się go ścigać, bo mówiono wszędzie, że ten dziad czarownik. Ale jeden jakoś nie bardzo wierzył tym czarom i bał się więcej dziadowskiego noża, niż czarów. Cóż tedy robić? na noc pobiegł do wsi i pożyczył sobie mocny z włosieni arkan, wiedział bowiem, że z rankiem przyjdzie dziad po owcę. Tak się też stało, ależ ledwie dziad zaczął uciekać z owcą, rzucił parobek na niego arkanem, schwycił go i obalił. Na to rzucili się chłopcy do pomocy i związali dziada, a potem rada w radę co z nim robić, zabić go, czy nie? Zabić by go można, bo opryszek; ale choć on takim — przecie to grzech zabijać człowieka, a jeszcze w takich ciężkich grzechach. Otóż kiedy radzili, jeden z nich wziął siekierę i poszedł w las. Nie długo powrócił potem i rzekł:

— No chłopcy, bierzcie dziada i chodźcie ze mną.

— Cóż, chcesz go zabić? — spytali tamci.

— Nie, nie bójcie się, będzie on żył, ale popamięta nas — rzekł pierwszy — bierzcie i chodźcie.

Wzięli tedy dziada i przyszli z nim aż tu na ten wierzch, tam zastali zrąbaną jodłę i pień nadkłuty. Wtedy ten pierwszy wyciosał dobry klin, kazał sobie przytrzymać dziada i wbił mu jego długą, kudłatą brodę klinem w pień. Dziad w prośby, w zaklinania, chłopcy w śmiech. Nażartowawszy się odeszli, dziad zaś nie mógł się uwolnić, bo miał ręce związane. Tak przestał dwa dni, aż trzeciego dnia znaleźli go ludzie idący za malinami, uwolnili go i zawiedli do wsi, ale już

¹⁵ Wydawać by się mogło, że ta nazwa jest wymysłem bogatej wyobraźni romantycznego poety, bo ani na współczesnych, ani na przedwojennych mapach jej nie ma. Otóż nie podobnego. Na mapie drugiego kartowania Galicji i Bukowiny — *Franziseische Landesaufnahme* z lat 1806–69 — nazwa ta jest naniesiona na grzbiecie pomiędzy Tekuczą a Polanicą Czemegowską (patrz wklejka barwna, str. IV). Oczywiście mapy tej Romanowski znać nie mógł, bo jej arkusze były supertajne i dysponowali nimi jedynie sztabowcy w Wiedniu.

bardzo chorego. Kilka dni żył jeszcze dziad, umarł potem wypowiadawszy się grzechów. Ztąd nazwano potem tę górę Dziadową-brodą.

Tak gawędząc doszliśmy do Mikuliczyna, rozrzuconego na jakie trzy mile wzdłuż Prutcu, między dwoma pasmami gór, złożonemi z Rokiety, wyższego i niższego Pantiru, z wznoszącego się stromo, jednolitą skałą Gorganu, z Zakamienia i Pietrynu od północy; od południa osłaniają tę wieś Żeniec wyższy i niższy, Siniak i Worochtienka.



Gorgan Buraczykowski nad Mikuliczynem, w głębi połoniny Rokiety

Weszliśmy do krajnej chaty prosząc o gościnę, i znaleźliśmy rade nam serca; bo góral każdemu przybyszowi rad, który mu w jego usposobienie trafić umie.

W chacie tej jednak panował ruch, nie zwykły w codziennem życiu górala. Gospodyni przystawiała to odstawiała garnki, piekła kołaczki, córki jej wybiegały często i powracały do matki znowu z jakąś tajemną wieścią, opowiadaną z zajęciem, malującym się na hożych twarzach. Gospodarz wysyłał gdzieś parobków. Wszystko to zapowiadało przygotowywanie się na coś ważnego. Korzystając z wolniejszej chwili, zapytałem hucuła.

— Ej gospodarzu, czy nie swaty u was, że taki zachód w chacie?

— Nie panie! Swaty po moją starszą przyjdą aż w jesieni; to u sąsiada syn umiera, ta przygotowujemy dla niego jadła i napój, aby miał czym ludzi przyjąć, gdy go przyjdą odwiedzić.

— Jakto, chory? — zapytałem. — To ratować by go pokąd żyje, a nie myśleć o pogrzebie.

— Nie ma co już ratować, proszę pana — ozwała się gospodyni — bo to nie zwykła choroba, ale uroki, a na uroki leków nie ma, chyba cud Boga lub śmierć. Posłałam tam moją starszą, bo miała dziecku baba, co to się zna na ziołach i umie czary zaklinać, węgle gasić, to nie wiem co mi dziewczyna przyniesie; ale ja wątpię, aby to dziecku pomogło.

W tej chwili wbiegła zapłakana, zadyszana dziewczyna z wieścią, że chłopiec już skończył. Hałas zrobił się w chacie, wszyscy pobiegli do sąsiedniej chaty, prócz gospodarza, który pozostał z nami.

Nie długo potem zasłyszeliśmy zbliżający się płacz, po chwili powróciła cała rodzina gospodarza, wiodąc pośród siebie ojca zmarłego i płaczącą matkę. Oboje byli jeszcze młodzi; on rosły, spokojnych rysów twarzy, czarnych oczu i włosów, mógł mieć zwyż lat trzydziestu, ona młodsza od niego, przystojna, płakała mocno, wybuchając czasem w gwałtowny krzyk bólu. A wtedy mąż, który zdawał się nie czułym, przystępował do niej, wstrząsał nią i przemawiał stłumionym głosem:

— Kobieto! nie rozdieraj ty mi duszy; o! jeśli tak będziesz żałować, to i ty za nim pójdziesz.

Poczęli się schodzić sąsiedzi i sąsiadki z pocieszaniem. Po kilku minutach poczał już krążyć kieliszek i zastawiono jadło. Nie miło mi było patrzeć na jedzących i rozmawiających swobodnie przy jadłach o rozmaitych przymiotach zmarłego dziecka przy tej strapionej parze. Choć mi to tak żywo przedstawiło obiady naszych ojców z czasów przedchrześcijańskich, wysunąłem się z chaty, bo tego rodzaju uczty znam od dawna jako wychowany na wsi.

Bez celu puściłem się brzegiem Prutcu, chodziło mi bowiem o zabicie czasu do wieczora, który i tak był już za drzwiami. Wprost Siniaka stanąłem, kiedy zachodziło słońce; postawszy niejaki czas, aby znowu nacieszyć się przecudnym obrazem usypiającej przyrody, przy gwiazdach już puściłem się ku domowi.

Niebo było pogodne. Prutec szumiał bijąc falami o kamienie, czasem zagrał po nim zachodni wiatr, zawracając prąd podmuchami wstecz; przy wzrastającym cieniu uderzył mnie światła jakby płonących pochodni, obok chaty naszego gospodarza, otoczone grupą ludzi zajętych, znać było po ruchach, jakąś ręczną pracą, a w ogniu błysnęło czasem ostrze podniesionej i spadającej siekiery. Nie myśląc długo, udałem się wprost tam, chcąc się dowiedzieć, co by to było. Na obszernem podwórzu zastałem sześciu nie młodych huculów, wyciosują-

cych dla nieboszczyka krzyż i trumnę, czterech parobków i jedno dziewczę przyświecało im przy robocie pękami zapalonych jodłowych łuczyw, rozlewających do koła jakieś czerwone światło. Ojciec zmarłego przechadzał się w milczeniu od kąta do kąta, czasem tylko zbliżył się, rozdał parobkom świeże pęki łuczywa, odebrał dopalające się i gasił je nogą. Długo przypatrywałem się temu dziwnego uroku widowisku, tym twarzom, rysującym się ostro w odbłasku czerwonego płomienia. Wkrótce jednak zajął moją uwagę inny przedmiot.

Góral, ojciec zmarłego, usiadł sobie na głazie, służącym za przełaz do jego zagrody, i dumał nad czymś z pół godziny; potem wyjął z za trzosa długą sopiałkę (po tamtejszemu frełę) i począł przygrywkę do jednej ze znanych, smętnych dumek naszego ruskiego ludu. Z początku nie szło mu jakoś granie, ton był chrapiący, nie wiązał się jeden z drugim, ale potem wzrastało granie coraz więcej, tony zlały się w harmonję, której dźwięki rozlegały się ślicznie po nocnej krainie gór, a wtórzyły im daleki szum Prutcu i uderzenia siekier. Z jednej dumki wpadał góral w drugą, wiążąc je z sobą jakąś dziwnego uroku przygrywką. Czem dłużej grał, tem silniej wzrastała jego melodia, w końcu nie wiązał się grajek żadną dumką, ale wpadł na jakąś, znać w tej chwili stworzoną melodję, przypominającą niektórymi zwrotami zawodzenie ruskich płaczków pogrzebowych, tak piękną, a tak pełną bólu i prostoty, że nie wiem czy znalazłyby się słowa, któreby lepiej wyraziły jego nieszczęście.

Zrozumieli go też ci prostaczkowie, co pracowali około krzyża i trumny, bo kiedy zwróciłem uwagę jednego z nich na piękną grę górala — odpowiedział mi:

— Boli go serce za synem, nie może płakać, toż gra.

Już po północy było, kiedy grać przestał; rozeszliśmy się na spoczynek pod obrogi wonnego siana. Długo nie mogłem usnąć, żalosna melodia dzwoniła mi w uszach i w piersi.

O świcie pożegnaliśmy naszego gospodarza, który nas mimo oporu z mojej strony, obdarzył na drogę osełką świeżej bryndzy, i poczęliśmy się wdzierać po godzinnym chodzie doliną na Pietryn. I znowu powtórzył mi się przecudny dramat wschodzącego nad górami słońca, ze wszystkimi swemi scenami. Znowu na szczycie góry spędziłem całą prawie godzinę, przypatrując się rozmaitym światła odcieniom, po różnych okolicach tej krainy; aż mi mój przewodnik przerwał cały tok myśli, przesuwających mi się przez głowę, ozwawszy się:

— Hej! hej paniczu, wybyście tylko stawali a wydziwiali się, a nam czas iść. Chodźcie, chodźcie; napatrzycie się jeszcze dość. Chodźcie! bo kto wie, czy staniemy na noc w Berezowie.

— Wyście zdrowi i ja zdrów — odparłem — to dojdziemy.

— Nieszczęście chodzi po ludziach, nie po ziemi — rzekł starzec. — Tędy rośnie ziele błąd¹⁶; jeśli się kogo nie daj Boże uczepi — oj! nie rychło wrócić mu do domu.

— Cóż to za ziele? — zapytałem.

— Co? wy nie wiecie... — zapytał starzec, patrząc na mnie z niedowierzaniem. — Chodźcie dalej, ja wam pokażę.

Jakoż w istocie pokazał mi potem roślinę, wijącą się dziwnie na kształt dzikiego powoju po kamieniach, z liściem blado-zielonem, omszonym, podobnym do winogrodu. Urwałem gałązkę rośliny, i chciałem ją schować do pugilarasu, aby się za powrotem spytać o nią kogoś obznajomionego z botaniką, ależ miałem się od górala. Z oburzeniem wyrwał mi z rąk, rzucił na ziemię i deptał krzycząc na mnie:

— A czyście oszaleli!... czy do was co przystąpiło?... czy macie wy sumienie brać takie nieszczęście do rąk i chować jeszcze? Hej! hej, paniczu, to wielki grzech, zaczepiać tak Boga! O! już wam się tego dotknąć nie dam, pókim z wami, bo to strach, a wyście tak młodzi jeszcze.

Nie ważyłem się rozczarowywać starca z jego błędnej wiary. Ten człowiek łudził się cudnem uczuciem, że odwraca nieszczęście od bliźniego. Druga chwila takiego uczucia, kto wie — czy mu się zdarzy w tem życiu?...

Podziękowałem starcowi za przestrożę, i szedłem obok niego, słuchając opowiadań o rozmaitych przygodach z tem zielem. Każde z największą opowiadane prostotą, tchnęło głęboką poezją; a starzec wydał mi się przemawiającym wieszczkiem z przedchrześcijańskich czasów.

Tak doszliśmy aż do Zakamienia, a że już było z południa, więc umyśliliśmy wypocząć, i posilić się.

Gdzieś już koło 5tej godziny poczęliśmy się spuszczać z Zakamienia trochę w dół, aby potem tem stromszą przebyć drogę na Gorgan¹⁷. Cudne to miejsce! Z nurtów szumiącego Prutcu wznosi się skała jednolita, olbrzym jej wysokości. Do połowy pokrywają ją najrozmaitsze wijące się zioła, od połowy aż po wyniosły szczyt kończący się trójgranem, naga; gdzieniegdzie tylko rzucił się wiotki bluszcz lub wrzos, chwiejący się i spadający za lada wiatrem. W samym środku skały wydrążona jest jaskinia, według twierdzenia mego przewodnika, pomieszkание nieczystego ducha, który tędy rozsiewa błąd. Grzbiet Gorganu i sąsiednie góry, pokrywały ciemne jodłowe i bukowe lasy, na których zieleni rysowała się prześlicznie Gorganowa Skała.

¹⁶ Przestęp biały (*Bryonia alba* L.), perestupnyk.

¹⁷ Gorgan Buraczykowski (Kostel, 1049 m).

Wdarłszy się po długim trudzie na szczyt, rad byłbym tu dłużej zabawił, aby się nacieszyć widokami, ale mego przewodnika gonilo coś widocznie z tych miejsc. Ciąglemu napominaniu: chodźmy! chodźmy, musiałem ulec w końcu.

Już się miało pod wieczór, słońce schylało się aby zapaść znowu między Siniakiem a Jawornikiem. Ścieżka wiodła nas między dwoma ścianami jodłowego lasu, który się ciągnął wzdłuż grzbietu Gorganu aż do przewał między nim a Dzemirem. Przy ścieżce leżała ogromna gałąź zaschniętej jedliny; przewodnik mój popatrzył na nią chwilę i wziął na plecy.

Zdziwiło mnie to, nie pytałem jednak o przyczynę, bo zdawało mi się, że ją ciągnie za sobą do chaty na opał.

Tak doszliśmy aż do małej polany w środku lasu, na której uderzył mnie widok narzuconego drzewa na kupę, w kształcie mogiły, wysokiej może na dwa sążnie. Jeszcze więcej zdumiałem, widząc, że mój przewodnik dorzucił tam swoją gałąź, którą ciągnął za sobą z taką mozołą.

— Co znaczy to suche drzewo — spytałem — i po co rzuciliście tu gałąź?...

— To grób, panie — odpowiedział starzec.

— Grób? — a na cóż na ten grób rzucacie drwa?...

— Bo to grób opryszka, który wielkiego doznał nieszczęścia i strasznego dopuścił się grzechu. Toż kto przechodzi tędy, rzuca mu suche drwa na grób, a jak się wiele nazbiera, to zapala się je potem, bo ludzie starzy mówią, że w tym ogniu oczyszcza się z grzechu nieszczęśliwa dusza, która się teraz w mękach po świecie błąka, i wejdzie kiedyś do nieba.

— Czyżje to grób — spytałem — kto był tym opryskiem?...

— Oj! strasna to rzecz; niech Bóg broni każdego chrześcijanina od takiego nieszczęścia. To grób Kandrulczuków, a on był rodem z Tekuczy. Jest temu ze trzydzieści lat, toż go pamiętam, bo nadbiegał nie raz z tytoniem do mego ojca; a był to tęgi chłopiec, zdrów jak wyluszczone, a do hulanki to już nie było i nie będzie takiego na świecie. W jesieni jakoś pokochał się w dziewczynie, Marta było jej na imię, i ona go kochała; mówili już ludzie, że się Kandrulczuk ożeni i cieszyli się, że po ożenieniu ustatkuje się, bo lubiono go bardzo, choć nie jednemu wypłatał figla. Ale i synowi Tekuckiego wójta wpadła w oko dziewczyna; posłał więc wójt swaty do rodziców Marty. Kandrulczuka nie było wtedy we wsi, poszedł był za tytoniem do Węgier; więc rada w radę, po groźbach i prośbach, odmówili mu dziewczynę, a po Wielkiejnocy pobrali się syn wójtów z Martą. Trzeciego dnia po ślubie, jeszcze trwało wesele, powraca Kandrulczuk z tytoniem; dowiedziawszy się o tem, idzie na wesele. Zdziwili się ludzie obaczywszy go, ale on powitał wszystkich i rodziców pana młodego i młodą serdecznie, jakby nic nie było między nimi, i zaczął tańczyć z młodą i družkami, ale tak że aż upadł. Na drugi dzień poroznosił między ludzi tytoń,

był u mego ojca, ale bardzo smutny, i nic nie gadał, jak go się o co pytano. Tak chodził cały miesiąc, a ludzie mówili, że go ktoś oczarował odjęciem mowy. Potem gdzieś znikł — przepadł, jak kamień w wodę. Aż jakoś we dwa miesiące potem rozlega się we wsi krzyk: „opryszki! opryszki!”, patrzą ludzie, a to leci z góry Kandrulczuk, a za nim kilkunastu chłopców. Wszystko poczęło uciekać, ale on nie zaczął nikogo, tylko pogonił do chaty, gdzie mieszkała Marta. Zastał ją bielącą płótno, a męża jej i teścia nie było w domu. Ona obaczywszy go zlekła się strasznie, upadła na kolana i poczęła go prosić żałośnie, aby jej przebaczył. On nic jej nie odpowiedział, tylko chwycił ją za ramię, rozrąbał jej siekierą piersi i wydarł serce. Potem spalił to serce na węgiel, startł na proch; wyspał do szklanki okowity, i — wypił. Wypiwszy zaśmiał się i krzyknął:

— No! teraz koniec już wszystkiemu — a do chłopców: — Wy róbcie co chcecie, mnie czas gdzie indziej.

Wyleciał z chaty i pogonił prosto w góry.

W niejaki czas potem puścił się wójt z synem i z całą gromadą w pogoń za nim i za opryszkami. Na drugi dzień znaleźli go na tem miejscu leżącego we krwi, piersi miał przestrzelone, a w zaciśniętej pięści pistolet. Nie radząc długo, wykopali grób i pochowali go tu z tem wszystkim.



Berezów Niżny, Huculi przed drewnianym kościołem katolickim (fot. H. Gąsiorowski)

Zgroza przejęła mi serce, przy spokojnem, a prostem opowiadaniu górala. Nie śmiałem zmówić modlitwy za duszę nieszczęśliwego zapaleńca, ni rzucić mu na grób wieczny odpoczynek!...

W milczeniu wykręciłem ołów z dwururki, dałem po dwakroć ognia, echo wystrzałów rozłamało się na sto głosów po rozpadlinach gór, tlejące pakuły rozdmuchałem do smolnych gałązek w płomień i podłożyłem pod stos. Rąco chwytały się języki ogniste suchych drew, czerwono-błękitne wężyki przebiegały stos od dołu do góry, rosnąc co chwila. Nagle potem zwały się wszystkie w jeden ponad szczyty najwyższych jodeł wzbijający się płomień; blask jego czerwony rozlał jakieś dziwne światło po ciemnej krainie gór, a trzaskiem ognia obudzony na nocleży ptak uciekał z krzykiem na kształt duszy, ulatując z ognia, szukać innego schronienia.

Przewodnik mój poglądał to ku niebu, to w płomień, to na mnie; na jego dobrodusznej twarzy malowało się serdeczne zadowolenie, patrząc na mnie, zdawał mi się dziękować oczyma za uczczenie moją ręką ich świętego zwyczaju.

Dochodząc do Berezowa, widzieliśmy długo czerwoną lunę, rozlaną po niebie i po górach; zwolna potem przygasał ogień, buchając od czasu do czasu; resztę spadzistej drogi oświeciły nam gwiazdy.

Na Czarnej Górze

Na złomach skał, wśród śniegów błyszczących od słońca,
Wstrzymałem krok, gdzie wichur nagim szczytom śpiewa.
W przepaściach noc; przede mną widnokrąg bez końca
Błękitnieje i w błękit sklepienia się zlewa.
W prawo — w lewo — gór pasma, borów ciemne szmaty;
U stóp moich obłoki, płynące z daleka,
Stają i zdziwione patrzą na człowieka,
Który się wdarł bez zakłęk w ich powietrzne światy.

Cicho — ten złoty obłok, co płynie jak fala,
W białej Wiśle pił wodę, z Wisły niesie wieści.
Zbliża się — od promieni słońca się zapala —
Słysząc szemranie... westchnął... nie, to wiatr szeleści...
A obłok już daleko... płynie drugi, trzeci...
Jasna dal z białych osłon oczom się odsłania,
Jak świat cudów mędrcom w godzinie dumania,
Kiedy w nim Bóg pochodnię natchnienia roznieci.

Lotna dziatwo błękitów! witaj mi na szczycie!
Oczy i myśli puszczam za tobą w przegony —
Lećmy! serce me czuje podwojone życie,
Gdzie spojrzę — wszystko moje — mój ten świat zielony!
Tam — poznaję — migoce Dniestr, jak srebrna wstęga...
Kędyż chaty człowieka? gdzie sławne cmentarze?
Zniknęły roztopione w zielonym obszarze:
Ni chat, ni grobów sławy oko stąd nie sięga.

Oh smutne to! przeczuwam: — i my w czasów dali
Rozpłyniem się tak samo w nic i w zapomnienie.
Nikt nie wspomni, że żyłim tu — żeśmy kochali —
I wędrowiec stąd kiedyś rzuci tak spojrzenie,
A nie dostrzegłszy okiem ni chat, ni cmentarzy,
O tem, że wszystko niknie, posępnie zamarzy.

Chata górską

Mała chatka dranicą pokryta,
Nad nią góra piętrzy się wysoko;
Spodem strumień zarył się głęboko
I wrywa kamienie z koryta:
Jemu ciasno, więc szumi i pieni,
Srebrną pianę o brzegi w krąg ciska,
A tak huczno, zda się, sto strumieni
Naraz rwie się z twardego łożyska;
Sosna schyla nad chatą ramiona,
A żywiczna woń płynie z jej łona.

I ja, pielgrzym, przyszedłem tu z dala,
I wstąpiłem do chaty górala;
I powitał mię starzec jak syna,
A jak brata witała rodzina.
Nie pytali, kto rodzi? jak miano?
Tylko dłonie bratersko ściskano.
Góral wołał: tu przyszedł gość z drogi,
Oto Bóg z nim wstępuje w me progi.

Gdy się rozległ fujary ton rzewny,
Gdy wieczorem dzwon jęknął cerkiewny,
I ze szumem strumienia zmieszany,
Jękł jak wielkiej świątyni organy,
Cała klękała do modłów rodzina,
Stary góral w głos pacierz zaczyna;
A po modłach złożonych tak Bogu
Dano skromną wieczerzę na progu.

Kędy góry tak dzikie, olbrzymie,
Wypisały Stworzyciela imię,
Kędy burzą wezbrane potoki
Z hukiem lecą gdzieś, w parów głęboki,
W ciągłej walce tu zda się przyroda,
Fantastyczna, niestała i młoda;
Kędy orły się kąpią w błękicie,
Oh! jak cicho upływa tu życie! —
W młodych sercach tu miłość poczęta
Czeka szczęsnej niedzieli, lub święta.
Z wiosną goni lud trzody na pasze,
Zimą wraca wesoły w poddasze.
A gdy komu dzwon śmierci zadzwoni,
To łez kilka się rzewnych uroni,
I gdzieś smutek ucieka z potokiem,
A lud patrzy wesołym już okiem.

Ostry Grun¹⁸, 14 sierpnia 1856

¹⁸ Jeden z osiedli Bani Berezowskiej.



Fragment mapy drugiego kartowania Galicji i Bukowiny, Franziszeische Landesaufnahme z lat 1806-1849